

„Palę wszystko i wszystkim”. Z wizytą u ojców miejskiego smogu

Paweł Marcinkiewicz

Co z tym powietrzem? Pytanie to wręcz narzuca się, gdy mijam rzędy domów, kamienic i dominujące nad nimi chmury ciemnopopielatego dymu. Dymu, który okala i ściśle wiąże się z otaczającym nas powietrzem. Jest jego częścią, pełnym zanieczyszczeń, niechcianym intruzem, złodziejem zdrowia naszego i naszej planety.

Jest czwartek, koniec marca. Jak co dzień przechadzam się, wracając ze szkoły, pełną wykończonych niebanalnymi ornamentami kamienic ulicą Śniadeckich. Choć przybrudzone spalinami i wszędobyłskim kurzem, pozostawiają wrażenie niegdysiejszej piękności i reprezentatywności. Jako że godzina już późno popołudniowa, kontemplowanie secesyjnych attyk utrudnia – oprócz zmęczenia i warkotu aut – unoszący się niczym mgła smog. Ciemnoszary, wręcz smolisty dym wydobywający się z górujących nad budynkami kominów. A także zapach, swąd. Swąd, który w zimniejsze miesiące staje się differentia specifica spacerów wzdłuż śródmiejskich uliczek. Odkaszlę raz, odkaszlę i drugi. Idę dalej. Czy da się do tego przyzwyczaić? Tak, pewnie tak. Wszak to stały krajobraz miast w Polsce – tak, tych z najbardziej zanieczyszczonym powietrzem na świecie.

Na lekcji chemii wspomniano mi kiedyś, że głównymi źródłami smogu są nie tylko zanieczyszczenia produkowane przez fabryki czy samochody, ale przede wszystkim te wytwarzane przez indywidualne gospodarstwa. To takie oczywiste, codzienne. Im częściej przechadzałem się Śniadecką, tym częściej zastanawiało mnie, co kieruje mieszkającymi tam ludźmi, którzy do swoich pieców wrzucają bynajmniej nie zużyte zeszyty. Zapraǳiałem dowiedzieć się tego.

Owego marcowego dnia reporterska ciekawość zaprowadziła mnie do jednej z tamtejszych kamienic – na oko pamiętającej przedwojenny Bromberg. Podążam przez porośnięty bluszczem dziedziniec, wymijając leżące pod klatką sterty starych stołów, połamanych krzeseł czy tapczanów. Wzrok mój przykuwają skrzętnie udekorowane przez kibiców jednego z bydgoskich klubów drzwi. Z pewnością nie oryginalne, acz przed kilkudziesięcioma laty wymienione na takie z modnym wówczas pleksi.

Chwytam za klamkę i wchodzę do środka. Gdyby nie wyglądające na nowe reklamy nowo otwartego sklepu monopolowego, mógłbym sądzić, że unoszący się tam zapach wilgoci poczuł ktoś po raz ostatni jeszcze w ubiegłym stuleciu. Spowity ciemnością korytarz prowadzi po schodach z drewnianą poręczą do pierwszego z mieszkań. Tamże nieśmiało pukam. Drzwi otwiera mi wyglądający na nie więcej niż 50 lat mężczyzna w zielonym, lekko brudnym swetrze. Ze sporym zdziwieniem odpowiada na moją ciekawość: - A co pana to? Każdy pali, czym chce, to moje mieszkanie – mówi. Na moją dociekliwość reaguje gwałtownym zamknięciem drzwi, po chwili jednak cofa się. - A wie pan co, coś panu powiem. Przychodzą do mnie czasem jakieś dziwne urzędowe inspekcje. Normalnie mam ich gdzieś, ale ostatnio coś mnie ruszyło. I przestałem palić śmieci – opowiada. Odpowiadam uśmiechem. Po chwili jednak dodaje: - Przed domem leżą takie drewniane kawałki, świetnie się spalają. Wszyscy je biorą – i zamyka ponownie drzwi. Stoję zmieszany, ale pukam do sąsiada. Może też wykorzystuje niepotrzebne innym meble? - Panie, przecież to drewno! Czym mamy palić jak nie drewnem? - pyta retorycznie Krzysztof spod dwójki, nie przejmując się szczególnie uwagami o malowaniu czy lakierowaniu spalanych przezeń mebli. Po skrzypiących schodach dość niepewnie wdrapuję się wyżej. Na pierwszym piętrze spotykam starsze małżeństwo. Otwiera mi mężczyzna, tłumacząc, że nie ma czasu, bo opiekuje się niedołączoną żoną. - Zawsze tak się robiło, mój ojciec też palił co szło i nikt mu najazdów nie robił – rzuca na odchodne. Znowu mijam pękające od wilgoci ściany i trafiam do kolejnego z mieszkań – otwiera mi wyjątkowo skłonna do dyskusji pani Elżbieta, zza pleców której wybiegają zaczynają hordy kotów. Jednego z nich – Kasztana - trzyma na rękach. I wyznaje: - Ja to tylko gazety palę, dużo nam ich do skrzynek wpychają. Ale sąsiad spod 12 to proszę pana... Cały rok zbiera worki ze śmieciami, żeby je spalić. Kopci jak smok, ale nikt mu nic nie robi – opisuje. Żegnając się z czworonogami, podążam więc w kierunku domostwa spiritus movens czarnego dymu w tej części Śniadeckich. Drzwi do dwunastki na wpuł otwarte – uznaję to za zaproszenie i zaglądam przez szparę. Miejsce to przypomina bardziej graciarnię sklepu monopolowego niż mieszkanie. Wśród porozrzucanych ubrań i butelek dojrzeć można pięknie zdobiony, granatowy piec kaflowy. Przed nim fotel – siedzi tam pewnie 60-letni mężczyzna w białej podkoszulce, ze złotym medalikiem na szyi. Wydaje się nie do końca rejestrować, co dzieje się w jego otoczeniu. Wyrzucam z siebie wreszcie ciche „Dzień dobry”. - Kim jesteś? Czego chcesz? - pyta, wstając z butelką wódki w ręce. Gdy wyjaśniam, Henryk – jak się później dowiedziałem,

emerytowany policjant – próbuje o własnych siłach dowlec się do drzwi. - Palę wszystkim i wszystko – mówi z rozbrajającą szczerością, na którą zdobywa się zapewne dzięki zawartości porzucanych po domu butelek. - Gdy wpadnie mi jakaś puszka, worek, wszystko leci do pieca. Ciepło chyba muszę mieć – dodaje. Odchodzę, lecz drzwi pozostają otwarte. Trafiam na ostatnie piętro, z okna nie raczy mnie jednak śródmiejska panorama, acz brudny, szary dziedziniec – jak ulice Petersburga z dzieła Dostojewskiego. Obok drabinki na dach budynku napotykam chyba najbardziej zadbane w całej kamienicy drzwi – drewniane, brązowe, wyglądają na nowe. Być może choć tu mieszka ktoś odpowiedzialny? Przeczucie mnie nie myli. Pan Dariusz swojego kopciucha wymienił na ogrzewanie gazowe już trzy lata temu. Odpowiadam uznaniem. - Nie wiem, czemu pan się dziwi. Normalna rzecz w tych czasach, po co palić jakimś syfem – uznaje. Jak mówi, jest prawdopodobnie jedyną osobą w tej klatce, która się na to zdecydowała.

Ze zmieszaniem idę schodami w dół. Przy wyjściu na dwór raz jeszcze spotykam mężczyznę z parteru. - I co, wiesz już pan wszystko? - pyta z cynicznym uśmiechem. - Nikt tu panu do końca prawdy nie powie, jeden na drugiego donosi, a sam pali, co wpadnie w ręce. Tak było, jest i będzie – dodaje na koniec. Z niepewnym uśmiechem mijam go i wychodzę na ulicę. Dym z wszystkich kamienic znowu łączy się we wszędobylski, duszący smog. Odkaszlę raz, odkaszlę i drugi. Ale idę dalej. Nie do końca wiem, co o tym myśleć. Przecież mimo kampanii społecznych i urzędowych interwencji, zastane realia to nie żadna aberracja: podobnych kamienic i ich mieszkańców jest mnóstwo – w jednej Bydgoszczy. Ergo co z tym powietrzem? Co jeszcze stać się musi, by zanieczyszczający to, czym wszakże wszyscy oddychamy, uświadomili sobie powagę swoich działań i wynikające z nich zagrożenie?